

KRONIKI ISLANDZKIE

Sonia Rammer

KRONIKI ISLANDZKIE

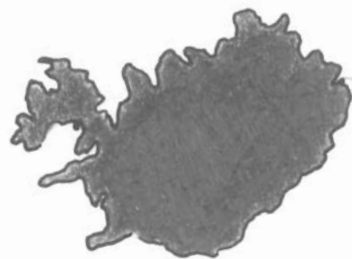
KRONIKI ISLANDZKIE

Sonia Rammer

BAER ART CENTER Islandia 2015

Wspomnienia z Islandii stają się coraz bardziej rozmyte. Ich nieostrość przypomina zdjęcia wykonane przez dziurkę w folii aluminiowej. Natura pamięci jest fragmentaryczna i nieciągła. Obrazy, słowa, dźwięki tworzą kolażowy melanż. Dlaczego coś zapisuje się we wspomnieniach, dlaczego z wycieczki do Akureyri pamiętam moment ustawienia Doris i Markusa przed obiektywem aparatu? Emocje towarzyszące zdarzeniom warunkują lepsze zapamiętanie.

Czy istnieje doskonała podróż? Tylko kiedy jest doskonałości pozbawiona. Gdy zaskakuje swoją nieoczywistością i nagłymi zmianami tempa.



27
C





Baer jest na końcu świata

Prom odpływa 6 czerwca. Ruszam dzień wcześniej, żegnając się ze słońcem. Na pierwszym duńskim parkingu czuję chłód. Burzowy kolor nieba i liście srebrzące się w północnym świetle przypominają o lecie, które pozostało w oddali.

Metalowa budka – toaleta – oraz kilka samochodów – karawan – nie zachęcają do biwakowania. Jadę dalej, w stronę portu, z nadzieją na odnalezienie oświetlonego parkingu przy stacji benzynowej. Hirtshals jest ciemne, zimne i deszczowe. Hotel Norrona, powiązany zapewne z promem o tej samej nazwie, onieśmiela designerską, błyszczącą powierzchnią przygotowaną dla turystów zarabiających w euro. Pomimo stopnia naukowego, czuję się jak uboga krewna.

W samochodzie mam czekoladę, orzechy, płatki śniadaniowe, ciepły śpiwór, namiot, menażkę, stałe paliwo i garnek do gotowania.

Plac przy stacji benzynowej jest duży i oświetlony, jednak budynek zamknięto o godzinie 20.00. Pada i wieje, nikogo w zasięgu wzroku. Z menażki robię umywalkę, myję zęby, przebiegam się w piżamę i zakopuję w śpiwór. Jest ciepły. Rano, około 6.00 budzi mnie dźwięk nadjeżdżających samochodów, dalej pada. Zakładam kurtkę, stacja na szczęście jest otwarta. Można skorzystać z sanitariatów i zjeść obfite śniadanie w duńskim stylu: smażony bekon, jajecznicę, słodkie naleśniki. Jest też kawa i internet – łączę się ze światem. Do odprawy mam kilka godzin, obserwuję ludzi, robię notatki, próbuję odkryć logikę spadania kropli deszczu, jem na zapas. Po zatankowaniu do pełna jadę w stronę terminalu, przejaśnia się, choć niebo usłane jest gęstymi chmurami. Parkuję na poboczu i idę się przywitać z morzem. Piasek jak nad Bałtykiem, kolor też zbliżony, przede mną parka spaceruje, trzymając się za ręce. Moje dłonie naciskają spust migawki aparatu. Ogarnia mnie melancholia.

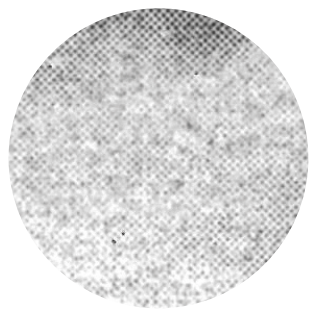
Kolejka na prom maleje, po lewej stronie drogi poruszają się ogromne tiry z napisem Smyril Blue Water, do odprawy ustawiają się terenowe jeepy, motocykliści, domy na kółkach. W masie pojazdów mój samochód wygląda niestandardowo, mały, granatowy żuczek. Porządkowi z promu kierują mnie na właściwy tor. Trzeba stanąć bardzo blisko innych samochodów, jest problem z wyjściem. Zapamiętuję kolor parkingu i klatki schodowej. Zabieram śpiwór (dzięki temu nie płacę za pościel na promie), jakieś picie, jedzenie, ubrania, zdecydowanie za dużo. Posuwając się w górę i w dół po niewygodnych stopniach, trafiam do recepcji promu. Wyciągam bilet, pani wskazuje długi korytarz, piętro drugie. Mijam dobrze wyposażony sklep (przypomina PRL-owskie sklepy Pewex), znajduję windę, w powietrzu unosi się specyficzny zapach ryby. Metalowa puszka zawieszona na linach sunie w dół, mam wrażenie, że obija się o ściany szybu.

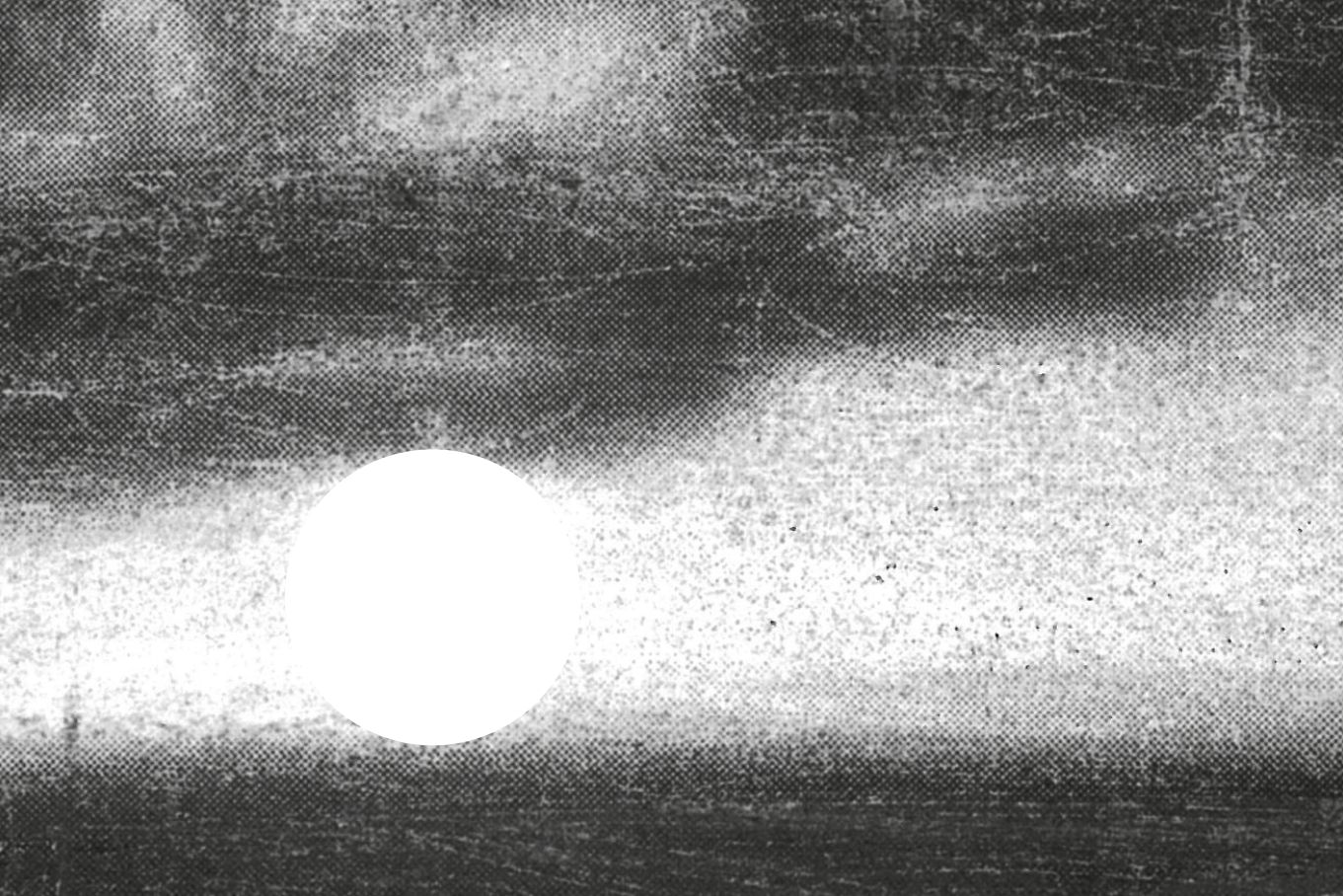


Moja kuszетка znajduje się na samym dnie statku, jest zanurzona w wodzie. Ponad głową położone są nie tylko bary, restauracje, kajuty z oknami, ale też stoją setki samochodów i motocykli. Znajduję przedział zawierający numer 2213, to moje miejsce. W dużej kabinie – fragmencie korytarza – wahadłowe drzwiczki prowadzą do właściwych sypialni – klatek z czujnikami dymu. Kajuta, około 2 × 3 metry ma dziewięć miejsc leżących, moje znajduje się na trzecim piętrze po prawej stronie. Wdrapuję się po drabinie i pierwszy raz szczerze dziękuję za swój średni wzrost i brak nadwagi. Wyciągam się na pryczy, od czubka stóp do sufitu zostaje jakieś 40 centymetrów.



Rozpogodziło się, świeci słońce, popijam kawę, obserwuję zielonkawę wody portu połyskujące zza szyby, robię zdjęcia, w końcu wychodzę na górny pokład. W „sky barze” jest gwarno. Przyjazna obsługa promu sprawia wrażenie bez troskiej. Można siedzieć godzinami, gapiąc się w wodę, spać, spożywać własny prowiant. Nikomu to nie przeszkadza. Po krótkim czasie rozpoznaję stałych bywalców baru. Daleko w morzu doganiamy zachód słońca, w tle słychać piosenkę The Animals *The House of the Rising Sun*.







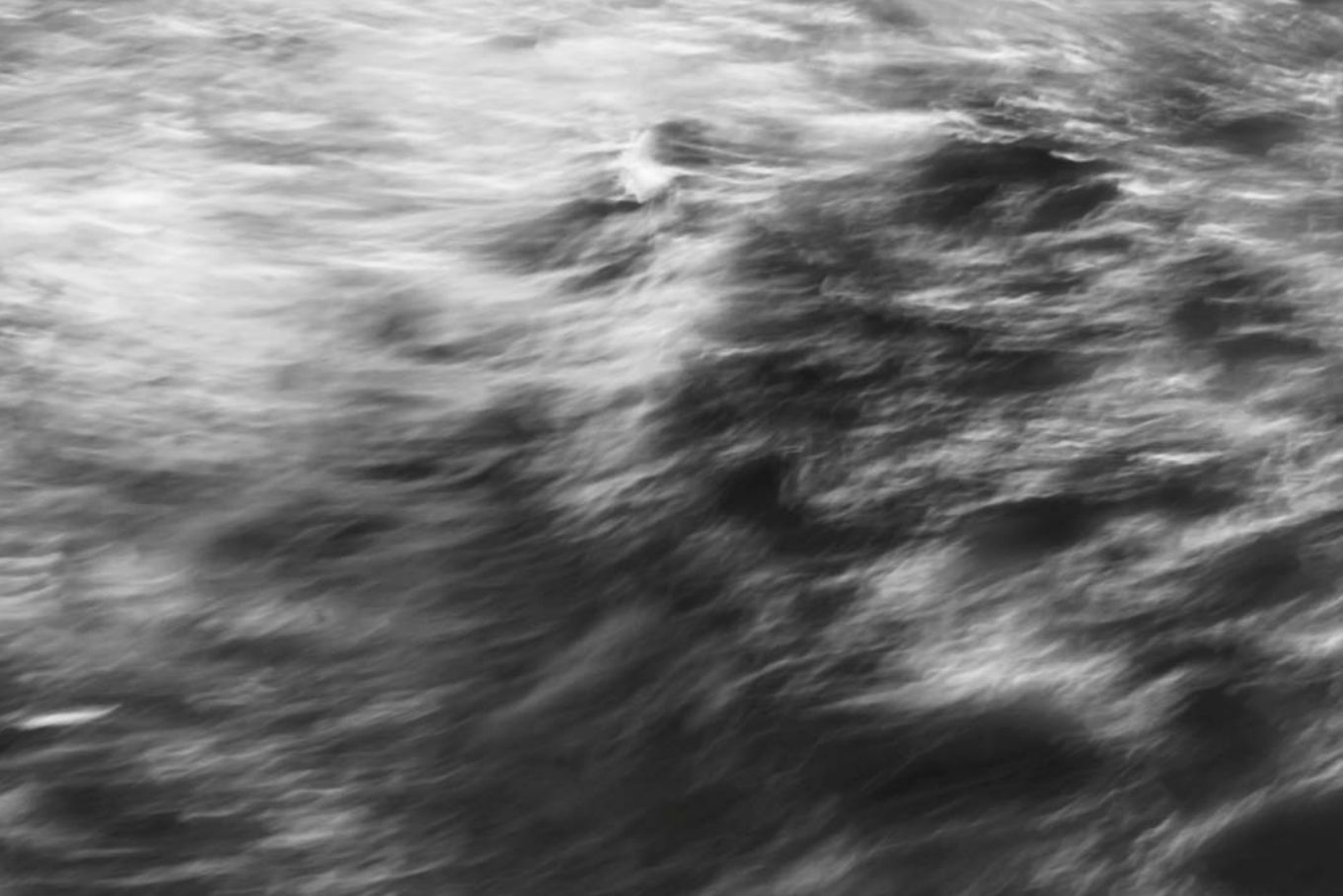
Pierwsza noc na promie przebiega spokojnie.

Śpię pod sufitem, jest ciepło i sucho, fale rytmicznie uderzają o dno statku, kołysząc ufnych pasażerów. Jestem dzieckiem oceanu. Szkot dzielący tę samą kuszetę pije piwo. Naszą małą sypialnię wypełnia zapach przetrawionego alkoholu, mokrych ręczników, ryb i skarpetek.

Na szóstym piętrze statku znajduje się restauracja Norrona. Mam wrażenie, że jestem jedyną z pokładu numer dwa, jedyną przedstawicielką społeczności zamieszkującej komnaty dla szczurów. Bufet ugina się pod ciężarem duńskiego jedzenia, którego konsumpcja rozciągnięta jest w czasie. Na sali siedzą głównie osoby, po pięćdziesiątce, wyglądają na znużone, wodzą nieobecny wzrokiem w poszukiwaniu czystych stolików. Ich twarze przybierają kolor bladozielony, być może jest to efekt uboczny rozkołysanego oceanu?

Na promie obowiązuje czas Wysp Owczych, mój telefon nie przedstawia się (być może ze względu na brak dostępu do sieci), pomimo zmian stref czasowych. Przez trzy dni nie wiem, która jest godzina. Czuję się zawieszona w jakimś dziwnym międzyczasie. Pory śniadania zmieniają się w zależności od położenia statku na mapie oceanu. A mój zegarek rządzi się własnym rytmem.

Między 12.00 a 14.00 w Diner Restaurant można zjeść lunch. Dla tych z drugiego piętra posiłek wliczony jest w cenę biletu. To taki piękny, humanitarny gest. Pasażerowie ustawiają się w coraz dłuższej kolejce, miła i ładna Dunka odhacza na wydrukowanej liście nazwiska i rozdaje talerze. Na środku sali stoi mały bar, a w nim korytka z jedzeniem, które znika zbyt szybko. Narasta irytacja i niezadowolenie, w końcu kucharz donosi nowe porcje. Bardzo się spieszył – warzywa nie zdążyły się rozmrozić. Przestrzeń Dinera jest dobrą alternatywą,





kiedy na górnym pokładzie jest zbyt zimno lub tłoczno. Można przy jednej herbacie przesiedzieć kilka godzin.

Drugiego dnia podróży mijamy Szetlandy. Gęsta mgła uniemożliwia dobrą obserwację. Szkot mówi, że pagórki przypominają jego rodzinną okolicę, mnie kojarzą się z porośniętymi zielenią grzbietami morskich stworów.

Druga noc na statku przebiega bez większych trudności, rano dobijamy do stolicy Wysp Owczych. Thorshavn po duńsku oznacza Port Thora – nordyckiego boga burzy i piorunów. Prom cumuje na kilka godzin, co pozwala zwiedzić miasto. Stolica liczy niewiele ponad 12 tysięcy mieszkańców i jest miniaturowa. Sprawia wrażenie sennej, powolnej, a jedynym wydarzeniem wprowadzającym ruch w jej niespiesznym żywocie jest przybicie do brzegu promu Norrona.

Odplywamy... Kapitan prognozuje niespokojne morze...

Nocne fale są dla wytrwałych z dobrym błędnikiem i poczuciem równowagi. Wracając do kuszetki, czuję przeciążenia w całym ciele, nogi stają się na przemienne ciężkie i lekkie. Temu samemu falowaniu poddaje się żołądek. Na pokładzie numer dwa panuje cisza.

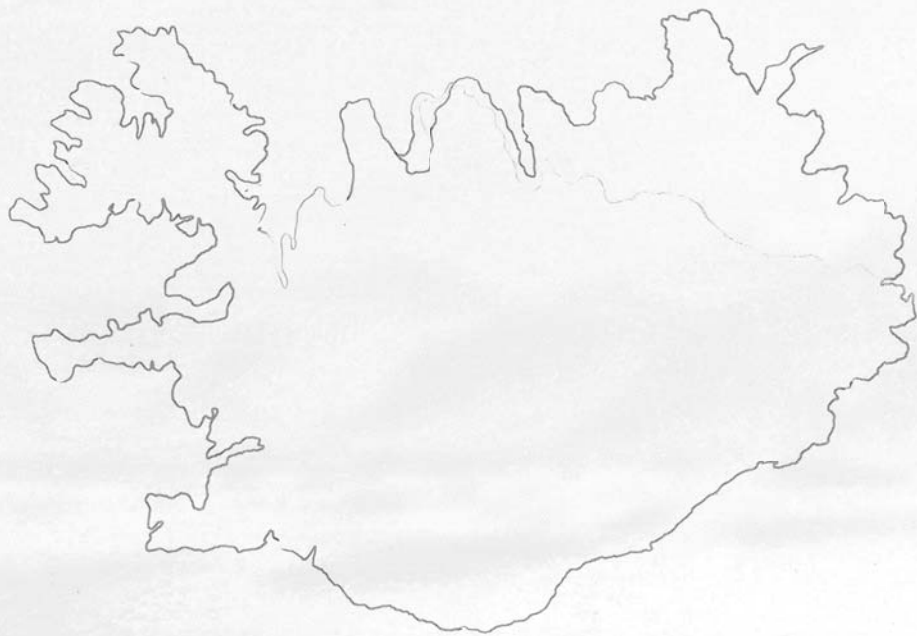


Norrona wpływa majestatycznie do ośnieżonego fiordu. Na górnym pokładzie gromadzą się turyści. Przenikliwy, silny wiatr uniemożliwia stabilne utrzymanie ciała, a tym bardziej aparatu fotograficznego, dłonie kostnieją z zimna. Nikt nie chce zrezygnować z uwiecznienia chwili, zewsząd dobiegają, przebijające się przez huk pogody, głosy pasażerów pozuujących do selfie.

Zbocza fiordu wyglądają jak grzbiet olbrzymiego brunatnego zwierzęcia, które pod wodą zapadło w sen zimowy. Jego aksamitną skórę pokrywają płaty przymarznętego śniegu.

W Seyðisfjörður świeci słońce, odbija się od białych łąt, rażąc oczy, rześkie powietrze kontrastuje z zaduchem promowych kuszetek. Do miasteczka położonego w niecce otoczonej wzniesieniami prowadzi jedna droga. Wije się, wznosi, przecina Egilsstaðir i dobija do słynnej jedyńki, którą można objechać prawie całą wyspę naokoło.

Pomimo słońca jest zimno i wietrznie, czerwcowe promienie nie roztopiły śniegu, który pokrywa wzniesienia po obu stronach drogi. Białe pola ciągną się po linię horyzontu, po styk nieba i ziemi. Wsiadam z samochodu i robię zdjęcia. Mam do przejechania 423 kilometry, podróż zajmuje mi cały dzień.







Mijam rozświetlone słońcem Akureyri, drugie co do wielkości miasto na Islandii. Kieruję się na północ ku Hofsós. Zbaczam z sugerowanej przez nawigację drogi, wybieram krętą trasę wzdłuż fiordu i przebijam się przez kilka mrocznych tuneli wykutych w skałach.

Po kilku kilometrach pogoda zaczyna się raptownie zmieniać, niebo wygląda jak przed burzą śnieżną, a samochód chwieje się od podmuchów wiatru. Półwysep Trolla wydaje się bezludny i mało przyjazny. Ciemnobrunatne skały kontrastują z leżącym śniegiem, w dole połyskuje ocean, jest zupełnie płaski i nie przystaje do moich wyobrażeń. Gęste chmury rozpraszają przedzierające się światło, ostre i północne. Świat zostaje pozbawiony cieni.





Baer jest na końcu świata...

Wyglądam przez okno swojej sypialni, widzę łąkę usianą żółtymi mleczeniami, konie, ocean, groblę i jezioro. Żaden budynek nie zakłóca pola percepcji.

Czuję się przytłoczona i onieśmiona pięknem otoczenia.

Jak można opowiedzieć obrazem o czymś, co jest doskonałe?



Dom, w którym mieszkamy, został poddany renowacji dziesięć lat temu. Wcześniej był schronieniem dla stada krów. Simon pokazał nam album ze zdjęciami stajni i obory. Remont zajął dwa lata.



Tafla oceanu przypomina metalową powierzchnię.



Noc nie chce się skończyć. Słońce cały czas utrzymuje się nad horyzontem. Jest zimno, wiatr wdziera się we wszystkie otwory domu i wygrywa na nich swoją pieśń.





Mariette powiedziała, że skała jest jak zwierzę.
W jej środku bije serce.

Na zewnątrz słońce. Skała, przedmiot całodobowych obserwacji, stoi niewzruszona. Jest 23.00 czasu lokalnego. Czekam na wiadomość od Ciebie.



Mink, czymkolwiek jest Mink, zjadł ptasie jaja. Rozmawiamy o tym przez dwa dni. Ptaki są niespokojne, być może myślą, że jesteśmy dużymi Minkami.

(mink to norka!)





Jest godzina 23.00, siedzimy w oszklonym holu, patrząc na spektakl wyreżyserowany przez naturę. Po dwóch tygodniach w Baer zapomniałam, jak wygląda noc, nie potrafię przypomnieć sobie czarnego nieba z gwiazdami i księżycem. Wchłaniam światło w nadziei, że starczy mi na następny rok. Co jakiś czas wyskakujemy na zewnątrz z aparatami jak turyści, którzy zamiast obserwować, delektować się chwilą, budują nową kolekcję zdjęć z miejsc nieprzeżytych i niezapamiętanych. Chcemy zanotować to, co niezwykle, to, do czego nie mamy dostępu w naszych miastach i krajach.

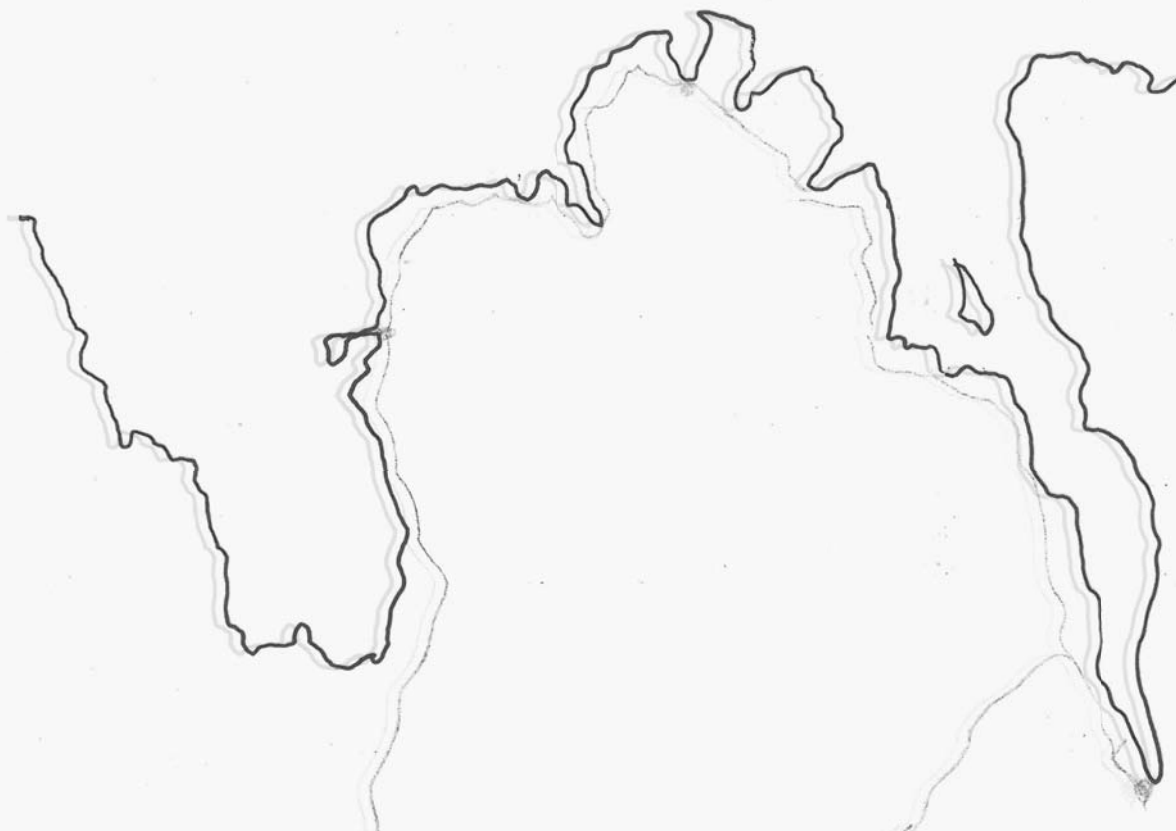
Słońce wisi nad skałą, chmury przemieszczają się w trudnych do przewidzenia kierunkach. Zagęszczają się i rozrzedzają, zaskakując swoim wirtuozerskim tańcem. Pejzaż sprawia wrażenie rozpękniętego. Kiedy stoi się twarzą do oceanu, po prawej stronie dominuje oranż skonstrastowany z prawie czarną skałą, po lewej dramatyzm ustępuje pastelowej łagodności.

Fiord otaczają błękitnawe góry, których ośnieżone czubki, połyskując różem, przebijają się przez biało-szare chmury. W tym świetle instalacja Markusa wygląda jak pomalowana farbą fluorescencyjną. Jej surrealistyczny wymiar podkreśla księżyc wiśzący niczym nadmuchany srebrzysty balon gotowy w każdej chwili odlecieć, chowając się przed głównym aktorem – słońcem. Jest cicho, domownicy śpią, dochodzi druga.





Jesteśmy w skansenie Glaumbær.
Do 1947 roku żyli w nim ludzie.
Podnoszę głowę i widzę małe okienko,
przez które wpada światło...







Dom z torfu nie jest trwały, trzeba dbać o niego jak o żywy organizm. Dach pokryty darnią musi posiadać odpowiednie nachylenie. Jeśli jest zbyt stromy, woda spływa szybko, darni schnie, pęka i w dachu pojawiają się dziury. Jeśli kąt jest zbyt rozwarty, woda zatrzymuje się i przesiąka do środka.

Wchodzę do izby, pomimo ładnej pogody wewnątrz czuję wilgoć i zapach ziemi. Wyobrażam sobie zimę bez słońca spędzaną na całonocnym robieniu swetrów i bielizny z owczej wełny. Wyobrażam sobie... a może tylko tak mi się zdaje?







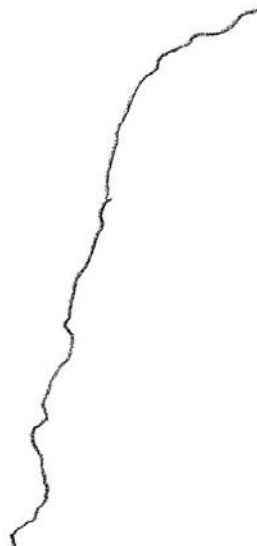
W słoneczny dzień, za oknami Baer rozpościera się krajobraz przypominający warstwy tortu. Najpierw zieleń trawy, później pas srebrzystego oceanu i wyrastające z niego góry, na końcu niebo – kapryśne, nieprzewidywalne. W te pasy, jak bakalie, powtykane są żółte mleczce. Z wody wystają ciemne skały przypominające z oddali kawałki nadtopionej, powycinanej w fantazyjne kształty czekolady. Góry okalające fiord przybierają błękitną barwę. Posypane pudrowym śniegiem, toną w chmurach z waty cukrowej.

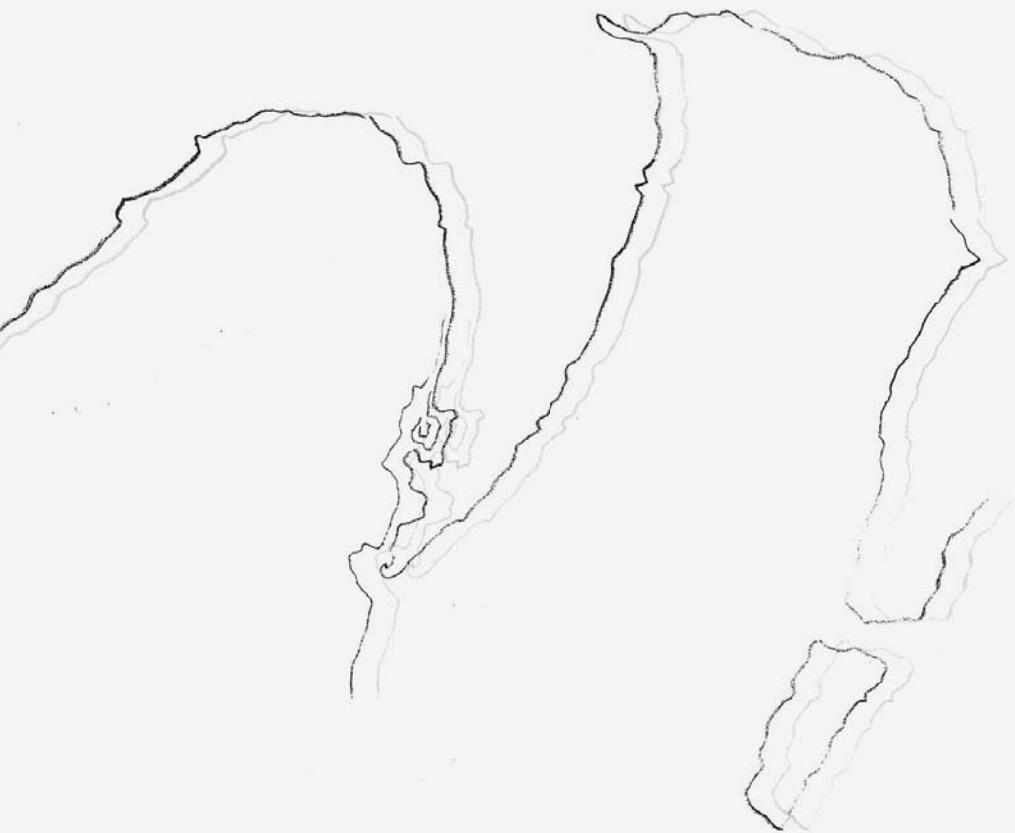






Kapryśne ławice śledzi pojawiały się i znikwały z północnych wód Islandii. Bez żadnego powodu i ostrzeżenia doprowadzały gospodarkę do recesji, a mieszkańców Siglufjörður do sennych koszmarów. Muzeum śledzia Síldarminjasafn wyraźnie wskazuje na uzależnienie wyspy od niedającej się ująć w ramy natury. W drugiej połowie lat 70. ubiegłego wieku na skutek nagłego spadku połowów społeczność zmalała z 3 tysięcy do tysiąca mieszkańców. Choć stosunek obywateli miasta do śledzia może nosić znamiona ambiwalencji, w jego herbie wciąż widnieją trzy ryby.







Z Baer Art Center do Hofsós można dotrzeć asfaltową szosą lub szutrową drogą wzdłuż wybrzeża fiordu. Doris często pożycza rower i pływa w jednym z najpiękniejszych islandzkich basenów z widokiem na ocean oraz wyspę Drangey. Mariette biega, Marcus, jak przystało na Austriaka, zdobywa okoliczne wzniesienia. Naszym wspólnym marzeniem jest dotknięcie lodowca. Ten jednak w miarę zbliżania się jest coraz dalej. Do końca naszego pobytu zostaje mirażem, kwintesencją marzenia, które z definicji spełnione, przestaje istnieć.

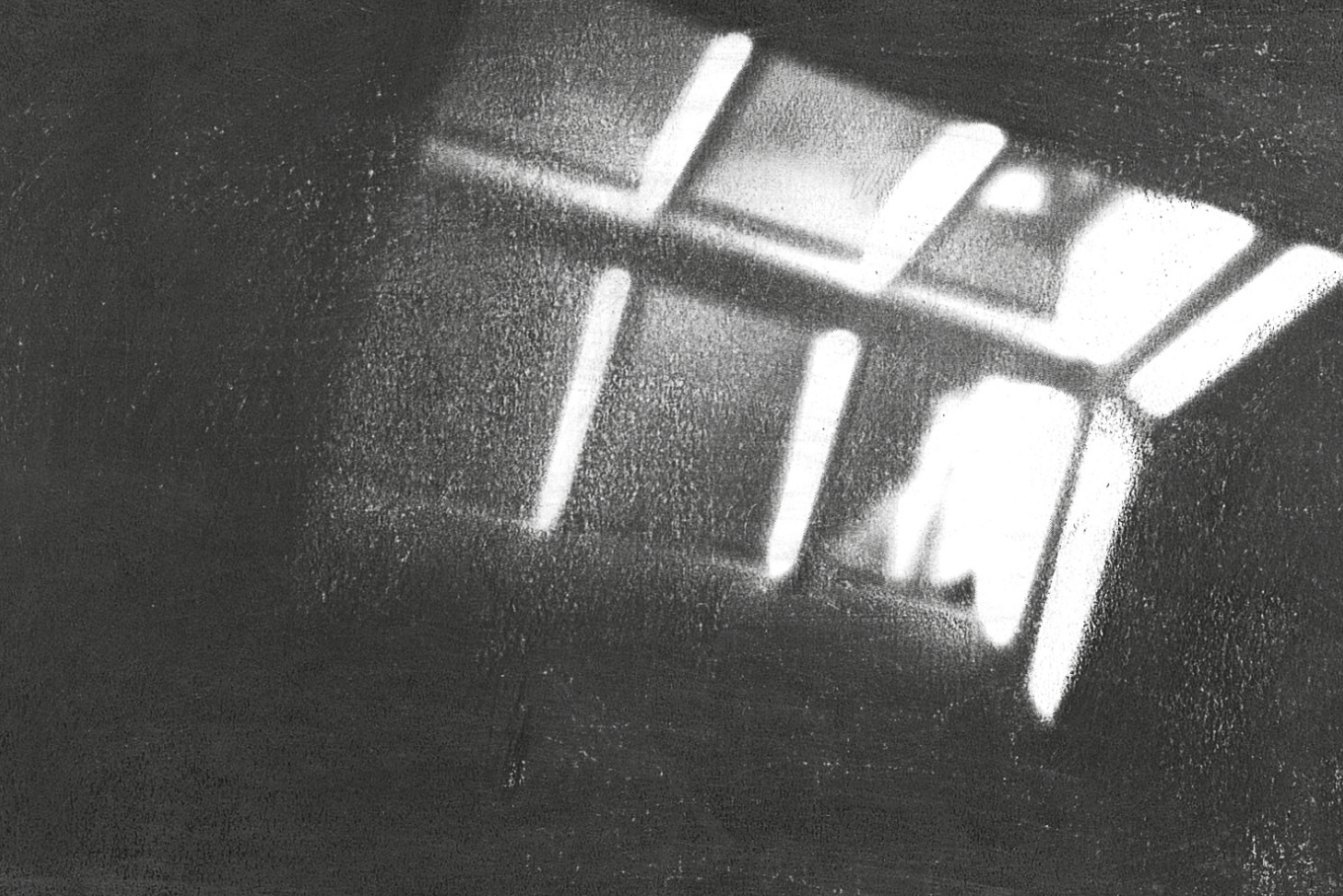


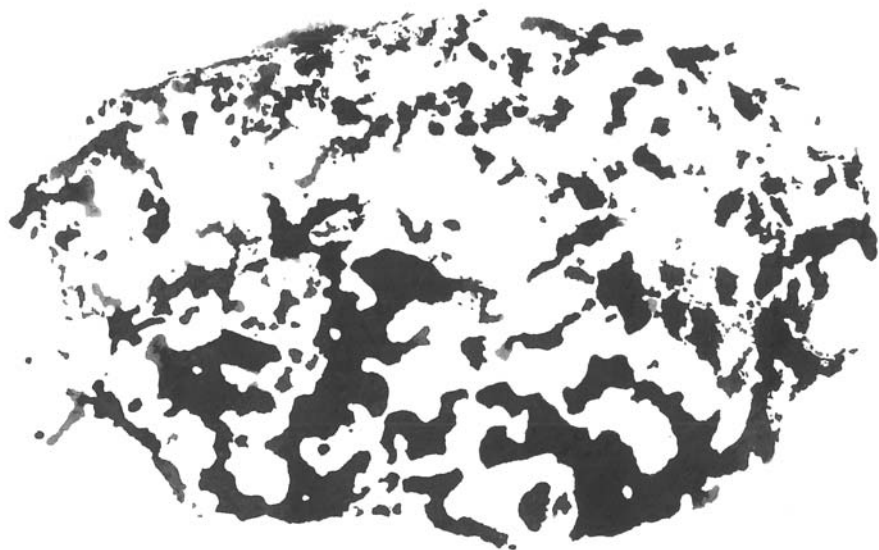
W Baer panuje rodzinna atmosfera. O godzinie 13.00 (w Polsce jest wtedy 15.00) zasiadamy razem do lunchu. Często towarzyszy nam Steinunn, czasem również jej mąż, Simon, jego żona oraz dziewczyna pracująca w stajni. Nie zawsze rozmawiamy. Cisza nie przeszkadza. Islandia jest pełna powietrza wypełnionego tylko odgłosami ptaków. Po obiedzie pijemy kawę i jemy ciastka. Częstouję Simona, odpowiada „tak”, co po islandzku znaczy „dziękuję”.





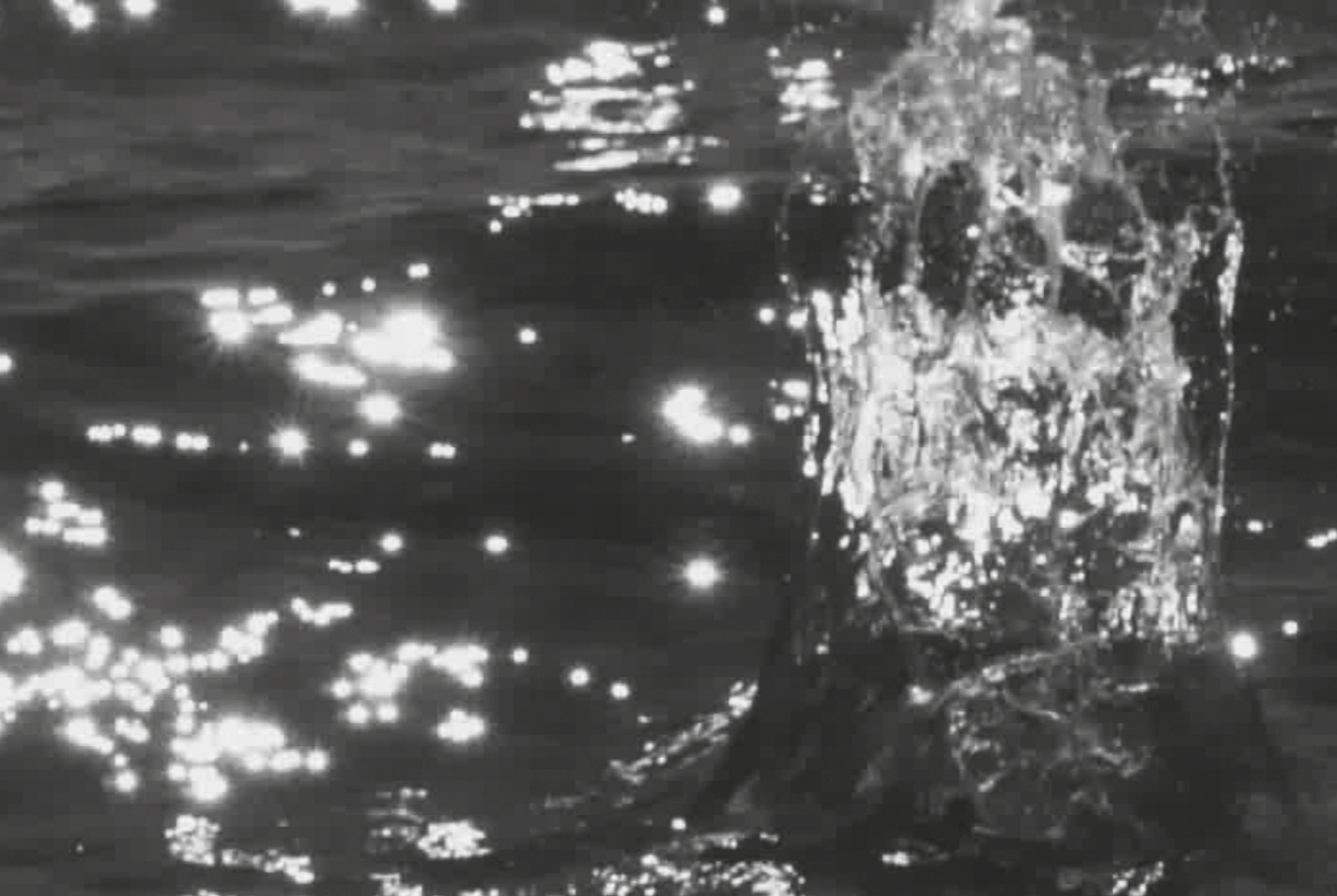
Każdy z nas ma swoją pracownię. Moja jest chyba najbardziej zabałaganiona. Jestem w niej z dala od wszystkiego. Światło wpada przez okno w dachu zarośnięte gdzieniegdzie kępami trawy. Robię fotografie otworkowe, wybiegam na zewnątrz, trzymając mocno pudełko po butach i naświetlam papiery.





Do wernisażu pozostał dzień, pracujemy nad ekspozycją w dużej sali. Sytuacja się komplikuje, ujawniamy indywidualne podejścia, odczuwamy podenerwowanie.

Decyduję o pozostawieniu większości prac w moim studio i przygotowaniu odrębnej prezentacji. We wspólnej przestrzeni pokazuję książeczkę i obiekty będące częścią *Opowieści o kamieniach*.





Czekamy na gości. Pogoda nie dopisała, jest zimno i deszczowo, ale wciąż bardzo jasno. Podjeżdżają kolejne samochody wyglądające jak miniczołgi i parkują pod drzwiami naszej rezydencji. Spragnieni kontaktu ze sztuką właściciele okolicznych farm oglądają wystawę i zadają pytania. Jestem poruszona ich dociekliwością. Większość zna angielski, zatem bariera komunikacyjna szybko znika. Opowiadam o procesie powstawania prac i odnoszę wrażenie, że dawno nie słuchano mnie z taką uwagą. Potem zostajemy sami razem ze Steinunn, jej mężem i najstarszą córką. Siedzimy w przeszklonym patio, sączymy wino, mając świadomość, że to jeden z ostatnich wspólnych wieczorów.



Nieopodal portu w Hofsós stoją trzy drewniane, czarne domki, w których mieści się Islandzkie Centrum Emigracji (Heimasíðu Vesturfarasetursins). Instytucja, powołana do życia w 1996 roku, upamiętnia Islandczyków, którzy w latach 1870–1913 wyemigrowali do Ameryki Północnej w poszukiwaniu lepszego życia. Szacuje się, że wyspę opuściło około 25% mieszkańców. Kupujemy z Doris bilet wstępu i wczytujemy się w starą kronikę. Narracja, rzeczowa i sucha, poświęcona jest głównie pogodzie oraz aktywności sejsmicznej wulkanów:



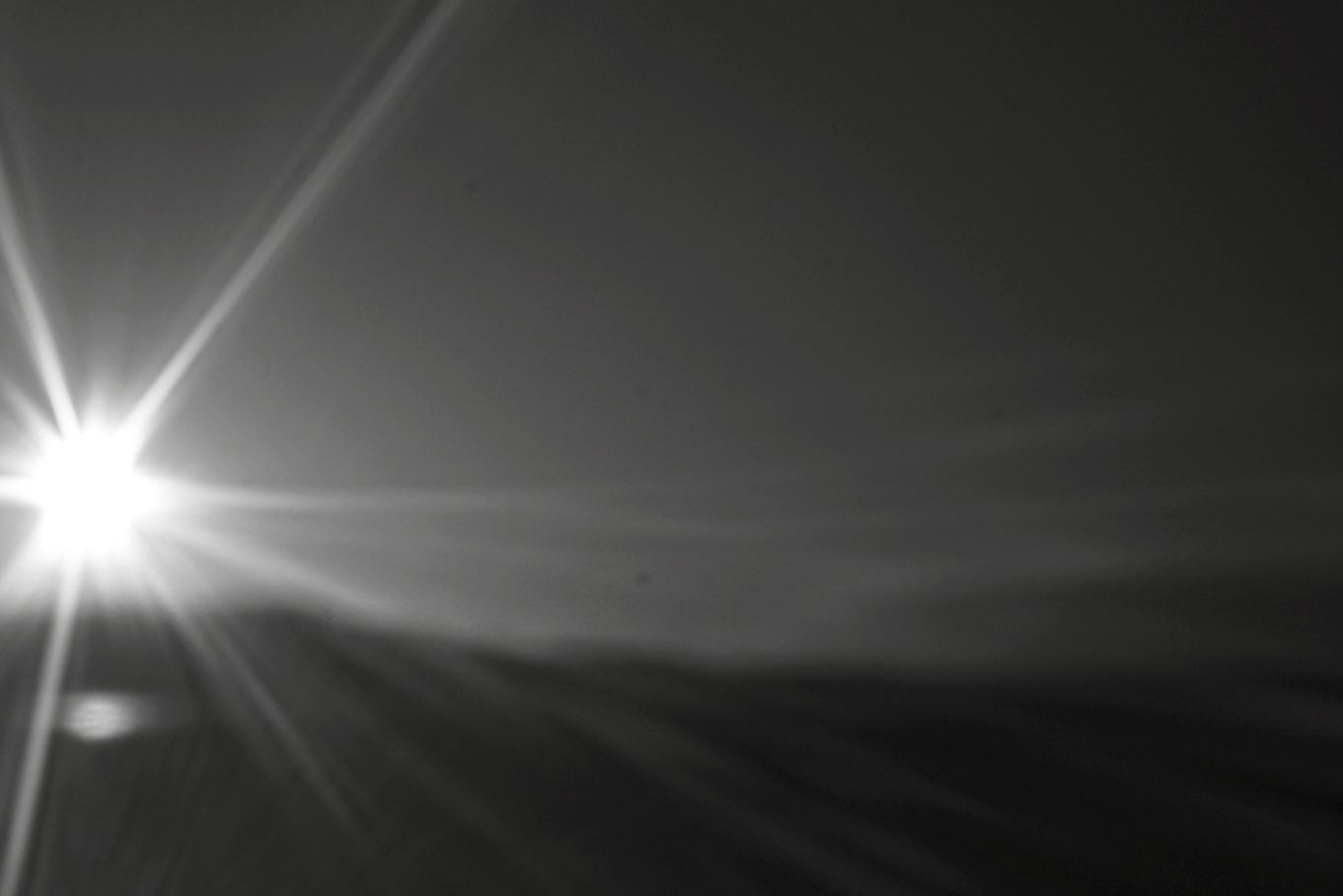
<i>Na początku roku bardzo ostry mróz. Eyjafjörður i Skagafjörður całe zamarznięte. Tak czy inaczej, przeciętny rok na lądzie i morzu.</i>	1879 No 322
<i>Zatrważająca zima na południu i zachodzie, tak sroga na północy, że mieszkańcy znaleźli się blisko śmierci głodowej. Wokół Faxaflói połowy ryb nadal skąpe. Poza tym całkiem dobrze.</i>	1898 No 87
<i>Sroga zima z dryfującym lodem aż do wiosny na obszarze północnych i wschodnich fiordów. Dobre lato, przeciętny zbiór siana. Połów ryb całkiem udany.</i>	1902 No 313

1890
No 144

Zima jest najtrudniejszym czasem do przetrwania. Na początku stycznia powalająca burza śnieżna razem z ostrym mrozem trwała wiele dni. Ogromna ilość śniegu leżała na północy. Pływające kawały lodu dobiły do brzegu, a na nich polarne niedźwiedzie, które powędrowały w głąb kraju. Fiordy zamarzyły naokoło całej wyspy i było możliwe np. podróżowanie z Reykjavíku do Akranes po lodzie. W połowie lutego przyszła nagła odwilż na południu, ale pogoda pogorszyła się szybko. Temperatura spadła poniżej 37stopni Celsjusza na północy. Obfite opady śniegu i niska temperatura uwięziły ludzi w domach, tak że część z nich prawie zmarła. Na początku kwietnia temperatura podniosła się, a w maju roztopiły się kry lodowe. Niestety w czerwcu burza śnieżna spowodowała śmierć owiec. W wielu miejscach ziemia nie rozmroziła się przez całe lato. Na południu jesień była deszczowa i ciepła. Zimowy sezon połowów ryb był udany. Na północy boom w przetwórstwie rybnym rozpoczął się po ustąpieniu dryfującego lodu. Łowiono rekiny i wieloryby.

<i>Kolejna sroga zima z dryfującym i nie topiącym się do końca czerwca lodem, naokoło Islandii aż po Wyspy Westmana. Trawa rosła wolno, ale pogoda w końcu poprawiła się i było możliwe wysuszenie siana. Wspaniałe połowy ryb.</i>	1888 No 1.109
<i>Łagodny rok, szczególnie zima. Na początku roku wzrosła aktywność wulkaniczna najpierw w rejonie Askji, później w pobliżu jeziora Mývatn. Pod koniec marca rozpoczęła się ogromna erupcja Askji, olbrzymie obszary pokrył wulkaniczny żużel, który prawie zasypał lodowcowe rzeki. Popiół wulkaniczny dotarł do wszystkich skupisk ludzkich na wschodzie, w Fljótsdalur wiele farm zostało opuszczonych, a inne zniszczone. [...]</i>	1875 No 59
<i>Pogoda była zmienna przez większość zimy, z upływem czasu poprawiała się. W kwietniu północne wiatry przyniosły w północnej części wyspy śnieg i mróz, a na południu chłód. Piaskowe</i>	1882 No 347".

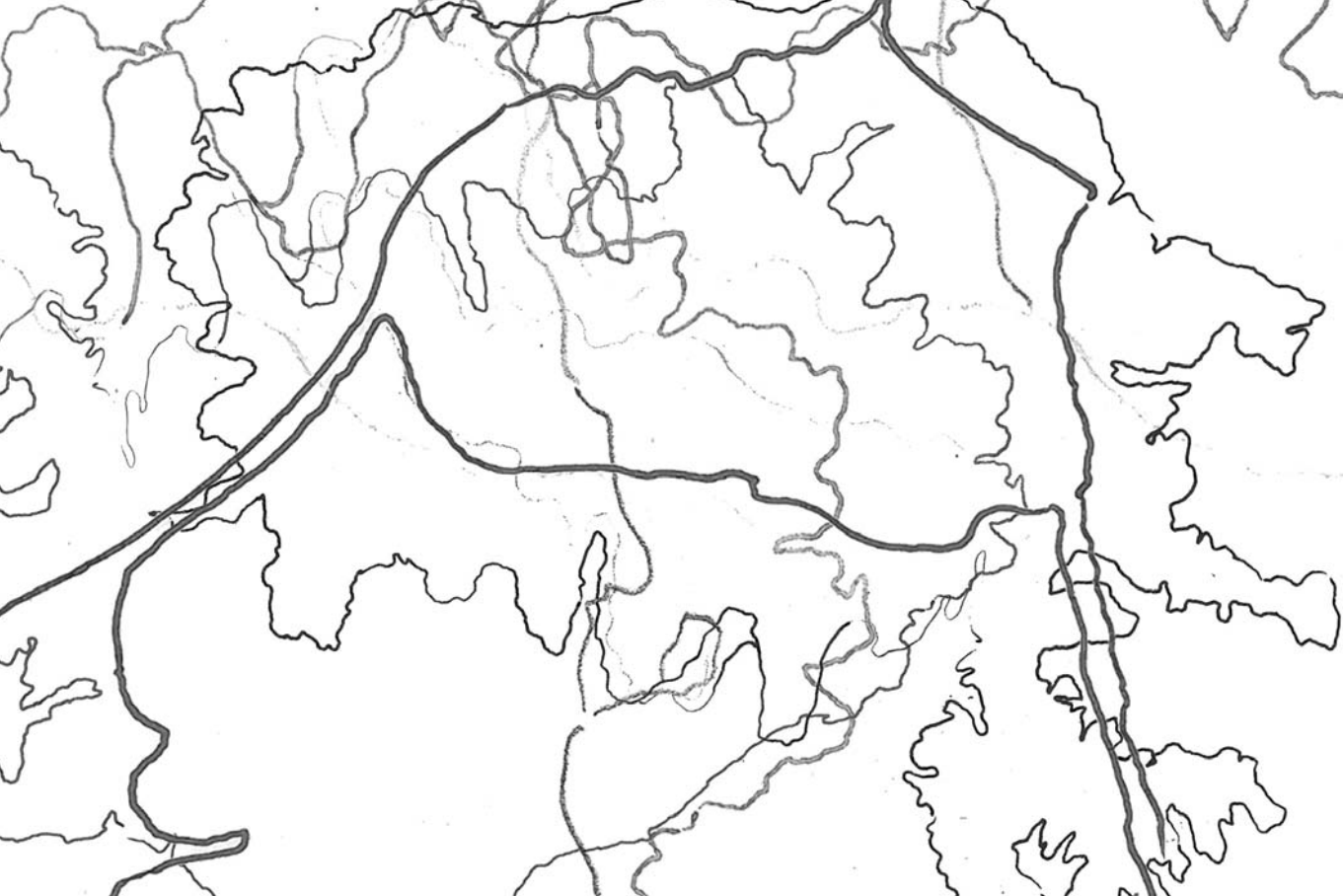
burze zniszczyły okolicę Rangárvellir, nie było możliwe podróżowanie pomiędzy farmami, a wiele z nich nie przetrwało. Z północnego zachodu nadpłynął dryfujący lód i wypełnił wszystkie fiordy. W maju nadciągnęła nawałnica, w następstwie której kilka osób walczyło o życie. Zbiór siana był latem utrudniony, ale dzięki łagodnej jesieni, aż do późnego października pracowano. W ciągu lata szalała epidemia ospy, wiele osób zmarło, a lato nazwano «Latem Ospy». Rząd ufundował pożyczki dla powiatów, które ucierpiały najbardziej. Zbiórka była organizowana w Danii, Norwegii i Wielkiej Brytanii, przekazano pokaźną sumę na pomoc dla Islandczyków. Wysłano wiele statków z żywnością i paszą.



Opuszczam Baer. Steinunn daje nam po szarlotce na drogę. Ogarnia mnie melancholia przemieszana z radosnym podnieceniem przed podróżą w nieznane. Przez jakiś czas podążam z Markusem i jego przyjacielem tą samą drogą. Rozdzielamy się, gdy szosa numer 76 przechodzi w jedynekę.







Zmierzam w stronę półwyspu Snæfellsnes. Odnajduję port w Stykkishólmur, tu prawdopodobnie przycumował okręt Daniela Vettera.









Snæfellsjökull, o którym pisał Juliusz Verne w „Podróży do środka ziemi” jest zupełnie biały. Krajobraz wygląda jak poszat-kowany, składa się z nieprzystających części, które jednocześnie dopełniają się, tworząc coś na kształt rzeczywistego kolażu. Czapa lodowca góruje nad czarnymi skałami oraz fantazyjnym, nierównym podłożem pokrytym miękkimi porostami, w które zapadają się nogi. Pogoda na półwyspie Snæfellsnes jest mało islandzka, świeci słońce, a temperatura sięga 18 stopni Celsjusza.

Rif trudno nazwać rybacką wioską. Wygląda jak miasto-widmo. Jakieś domy – wille, nie wiadomo, czy zamieszkałe, kontenery przy porcie, w którym nic się nie dzieje. Zbliżając się do miejscowości, zauważam nieznany znak drogowy z ptakiem, a chwilę później całe kolonie rybitw popielatych przesiadujące, a właściwie zapełniające szczelnie skwery i drogi. Wioska została przejęta przez ptaki. Scenariusz Hitchcocka nabiera realnych kształtów, brakuje tylko Mitcha i Melanie z rozdzielanym czołem.



Wyjście z The Freezer Hostel stanowi gest odwagi. Nad głowę
najlepiej trzymać kij, ponieważ ptaki atakują najwyższy punkt.
W ten sposób można uniknąć nieprzyjemnego dziobania.
Mężczyzna koszący trawę, poza słuchawkami chroniący-
mi przed hałasem, wyposażony jest w hełm. W bezładnym,
wietrznym pejzażu wygląda jak przybysz z innej planety.

Wyjście z The Freezer Hostel stanowi gest odwagi. Nad głową najlepiej trzymać kij, ponieważ ptaki atakują najwyższy punkt. W ten sposób można uniknąć nieprzyjemnego dziobania. Mężczyzna koszący trawę, poza słuchawkami chroniącymi przed hałasem, wyposażony jest w hełm. W bezludnym, wietrznym pejzażu wygląda jak przybysz z innej planety.

Szlak ciągnący się wzdłuż wybrzeża z Arnarstapi do Hellnar słynie z bajecznych formacji skalnych, oraz możliwości obserwowania ptasich lęgówisk. Z nisz i zaułków utworzonych przez zastygłą lawę dochodzą skrzeki – przemieszanie godowego jazgotu ze złowrogą nutą mającą odstraszyć potencjalnych intruzów. Dźwięk wżera się w serce, uczy pokory, ziemia jest nie tylko królestwem człowieka.





Między wystającymi głazami okalającymi wąwóz, w 930 roku zebrał się po raz pierwszy islandzki parlament Althing, jedna z najstarszych tego typu instytucji na świecie.

Vetter opisuje Þingvellir (z isl. Þing – parlament, vellir – równina) jako miejsce mało dostępne, położone z dala od brzegu oceanu, w stronę interioru, do którego wkraczali tylko najśmielsi z wyjętych spod prawa. Dzisiaj do równiny można dojechać samochodem.

Zatrzymuję się na stacji benzynowej w Hvolsvöllur i przepakowuję plecak. Po kilkunastu minutach podjeżdża górski autobus, którego olbrzymie koła i masywna konstrukcja przywodzą na myśl filmy z gatunku science fiction. Siadam wygodnie, rozglądam się, nie widzę żadnego samotnego turysty. Z głośników sący się męski głos, który piękną angielszczyzną opowiada o historii geologicznej wyspy. Po kilkunastu kilometrach autobus zbacza z głównej drogi i zatrzymuje się przy imponującym wodospadzie Skógafoss. Kierowca daje 15 minut na zrobienie zdjęć. Po siedmiu tygodniach spędzonych na Islandii i spotkaniu ze Żłotym Wodospadem (Gullfoss) nie odczuwam nadmiernej potrzeby fotografowania. W głąb interioru prowadzi szutrowa droga przecinana licznymi rzekami. Po srogiej zimie, kiedy masy śniegu topnieją, strumienie stają się szersze i rwące, a rzeki nabrzmiwiają dodatkową wodą. Nie każdy samochód terenowy może sforsować takie przeszkody.

Po drodze widzę kilka porzuconych na poboczu pojazdów. Rozkołysany na prawo i lewo autobus ze względu na olbrzymie koła i moc silnika przeprawia się przez strumienie bez większych problemów. Towarzyszą temu charakterystyczne dźwięki, które przypominają chrzęst obijających się o siebie kamieni, turlających się po dnie koryta rzeki. Mam wrażenie, że podwozie mountain busa wypełnia się wodą, a kierowca jak czarodziej za dotknięciem różdżki uruchamia maszynę wypompowującą nadmiar cieczy. Þórsmörk – Las Thora – kraina, której nazwa pochodzi od nordyckiego boga burz, piorunów i sił witalnych, pogrążona jest w chmurach. Kilka drewnianych chat należących do schroniska ukrywa się w niskich krzakach okalających łąkę. Odnajduję swoje miejsce, rozmawiam z towarzyszami na jedną noc i planuję wycieczkę. Wyposażona w mapy i GPS, ruszam na szlak. Docieram do rzeki Krossá, przyglądam się ruchomym konstrukcjom –

wyposażonym w gumowe koła mostom – które można przesta-
wiać w dowolnym kierunku. Wspinam się po drabinie i prze-
chodzę przez kładkę, która sprężynuje. Droga pomiędzy karło-
watym lasem brzozowym łagodnie pnie się w górę. Nie pada.
Idę szybkim krokiem, chcę wrócić przed 19.00 do schroniska.
Samotne podróżowanie, przemierzanie nawet najprostszego
szlaku wiąże się z wielokrotnym wyężaniem uwagi, ciągłą
czujnością, staje się rodzajem medytacji w drodze. Zdarzenie
– banalne – we dwoje, w pojedynkę bywa dramatem, myślę
o tym cały czas, penetrując tereny pozbawione ludzi i zasięgu
telefonicznego. Pejzaż Þórsmörk jest fantastyczny i nie przypo-
mina niczego znajomego. W dolinach rzek panuje cieplejszy
klimat. Kraina różni się od innych południowych obszarów
wyspy. Ziemię zasilaną strumieniami porasta zaskakująca ilość
niewysokich drzew. Wyższe partie zdominowane są przez
trawy i porosty zieleniejące soczyście latem. Ich tło stanowią



czarne i brunatne, wulkaniczne skały układające się w trudne do wyobrażenia kształty. Patrzę na geologiczne cuda; jamy, łuki, ostro zakończone czapy, wyrwy, rozpadliny... Ich baśniowy charakter uwodzi mnie. W Lesie Thora wiara Islandczyków w elfy przestaje dziwić.

Wraz z wysokością terenu roślinność ustępuje wulkanicznym pozostałościom, pejzaż zostaje pochłonięty przez biel i czerń, zmienia się w rysunek. Najwyższy punkt wędrówki znajduje się między dwoma lodowcami: Eyjafjallajökull i Mýrdalsjökull. Ten pierwszy przykrywa czapą czynny wulkan, którego erupcja była przyczyną wstrzymania ruchu lotniczego w Europie w 2010 roku. Do polany między glezcerami trzeba wspiąć się po ośnieżonym zboczu. Temperatura spada coraz bardziej, czuję jak przepocone rękawy polarowej bluzy zaczynają przymarzać i ziębić nadgarstki. Staram się iść szybko, bez przerw, aby utrzymać resztki ciepła. W końcu staję na rozległej białej

polanie, z której wyrastają zaskakujące żwirowe, czarne stożki. Badam ich konsystencję, jest ostra, miejscami zbita. Wsadzam do kieszeni kilka pumeksów, myślę o tych, których ze mną nie ma i o tych, którzy z Islandii dostaną czarny kamyk. Pomimo przemarznięcia nie mam ochoty wracać, wdycham mętne powietrze, patrzę na jęzory lodowców rysujące się jakby tuż przed moimi oczami, mają szaro-błękitnawy kolor. Majestatyczny i surowy obraz nastraja mnie niemal mistycznie, jest pusto i przejmująco cicho. Powrót do schroniska zajmuje mi kilka godzin.





Coraz mocniej odczuwam zbliżający się koniec podróży. Cały tydzień pada, wieje, a mgła przesłania świat. Udaję się do ostatniego hostelu w Seyðisfjörður – Domu Starego Doktora, nie rozpoznaję drogi, którą już kiedyś jechałam, wszystko tonie w mleku. W kilkuosobowym pokoju spotykam motocyklistów ze Szwajcarii, tych samych, z którymi wymieniałam uwagi na promie. Oni również wracają.

W porcie trzeba stawić się kilka godzin przed wypłynięciem, sznur samochodów, kilku porządkowych, wymagana jest cierpliwość. Czuję się poza miejscem i czasem, mechanicznie odpalam i gaszę samochód, przesuwając się w kolejce. Myślę o Wyspie, zastanawiam się, czy ją „przeżyłam”, czy tylko zobaczyłam.

Podróżni, którzy zaplanowali postój na Wyspach Owczych, muszą opuścić kuszetki godzinę przed cumowaniem. Jest środek nocy, pierwszy raz od blisko dwóch miesięcy widzę czarne niebo. Jadę przed siebie, szukam parkingu przy stacji benzynowej, chcę się zakopać w śpiwór i przetrwać do rana. O świcie budzi mnie dźwięk wody obijającej się o boki samochodu, wyglądam przez szybę i widzę człowieka, który myje czystą nawierzchnię betonowych płytek. Gramolę się niezdarnie na przednie siedzenie i przestawiam mojego żuczka. Na twarzy mężczyzny maluje się zdziwienie, nie zauważył mnie. Uśmiechamy się do siebie i machamy na pożegnanie.







Urodziny spędzam na Wyspie Streymoy w towarzystwie wszędobylskich owiec. W prezencie kupuję sobie kawę z ekspresu na stacji benzynowej. Papierowy kubek w granatowo zielone paski dobrze komponuje się z lakierem samochodu.



Po trzech dniach ponownie ustawiam się w kolejce na prom. Choć jest chłodny i deszczowy wieczór, otwarty pokład jest pełen turystów. Stoję razem z nimi, robię zdjęcia ciemnogatowego portu, chwytam w szybach refleksy światła i własne odbicie. Nazajutrz pierwszy raz od dwóch tygodni doświadczam słonecznych promieni. Usadawiam się w puchowej kurtce w pobliżu sky baru i wyginam w stronę gwiazdy jak roślina przeprowadzająca fotosyntezę.

Droga powrotna upływa mi na spisywaniu wspomnień i nicnierobieniu. Jestem szczęśliwa, że wracam do ciepłej Europy. Kiedy koła samochodu dotykają starego kontynentu, czuję się jak w domu, choć przede mną ponad tysiąc kilometrów.

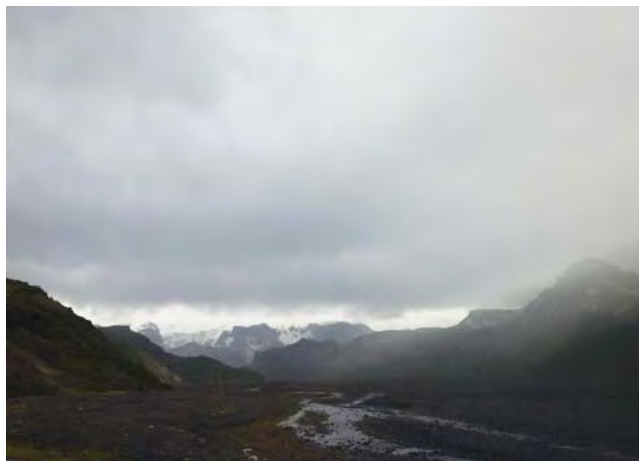






Niczego nie żałuję.

W oddali wciąż połyskują szaro-błękitne lodowce.







Sonia Rammer

artystka, psycholożka, podróżniczka, zawodowo związana z Uniwersytetem Artystycznym w Poznaniu (Wydział Edukacji Artystycznej i Kuratorstwa). Zajmuje się sztuką oraz teorią ze szczególnym uwzględnieniem psychologicznych aspektów twórczości. Brała udział w wystawach zbiorowych, (m.in. Arsenał Poznań, BWA Bielsko-Biała, Wozownia Toruń, BWA Wrocław, Artists House Jerozolima, Izrael; Studio 18 Gallery Nowy Jork, USA), indywidualnych (np. BWA Gorzów Wielkopolski, Wieża Ciśnień Konin, BWA Arsenał Poznań, MBWA Leszno, ART Station Stary Browar Poznań, Galeria Student Ostrawa, Czechy; Baer Art Center, Hofos, Islandia) oraz konferencjach. Autorka i współautorka tekstów traktujących o fenomenie twórczości z perspektywy psychoanalitycznej.

W centrum zainteresowania artystki znajduje się człowiek, jego egzystencja, emocje, kruchość, pamięć. Interesuje ją ambiwalentna rola jaką pełni jednostka w świecie, będąc jednocześnie częścią natury jak i elementem wchodzącym z naturą w nieustający konflikt.

Wydawca

Miejskie Biuro Wystaw Artystycznych w Lesznie

ul. Leszczyńskich 5

64-100 Leszno

tel./fax +48 65 520 54 27 (biuro)

tel. +48 65 520 51 79 (Galeria)

sekretariat@mbwa.leszno.pl

www.mbwa.leszno.pl

www.facebook.com/MBWALeszno

Dyrektor: Marcin Kochowicz

Współwydawca

Wydział Edukacji Artystycznej i Kuratorstwa

Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu

www.uap.edu.pl/uczelnia/wydzialy/weaik

Aleje Karola Marcinkowskiego 29

60-967 Poznań

Redakcja

dr hab. Izabela Kowalczyk

Recenzja naukowa

prof. dr hab. Grzegorz Dziamski

Druk

Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak sp.j.

Poznań, 2017

Tekst/fotografie otworkowe/fotografie cyfrowe/rysunki/dokumentacja

Sonia Rammer

Korekta

Justyna Knieć

Projekt graficzny/Skład i przygotowanie do druku

Sonia Rammer/Błażej Duchnik

Nakład

200 egz.

copyright: Sonia Rammer

ISBN 978-83-65865-00-7

ISBN 978-83-65578-68-6

Praca naukowa współfinansowana ze środków Ministerstwa Nauki
i Szkolnictwa Wyższego na naukę w latach 2017 jako projekt badawczy.



